Ner 6. Kraków, 10go Lutego. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »

Z modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 50 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redakcyi.

Dla przyczyn od Redakcyi niezawisłych, przymuszony byłem przenieść się do innej drukarni — z tego powodu wydanie niniejszego Numeru zostało spóźnionem.

Kraków 16go Lutego 1863.

Kazimierz Józef Turowski.

ELŻBIETA,

Królowa angielska.

(*Dokończenie.*)

Filip IIgi, hiszpański, aczkolwiek po ojcu swoim Karolu Vtym, nie odziedziczył ani cesarstwa niemiecko-rzymskiego, ani jego rozumu, miał przecież wytrwałość i pracowitość, obie zalety w niezwykłej mierze. W państwach jego, chociaż nie był cesarzem rzymskim, słońce nie zachodziło; tak obszerne były jego posiadłości w Europie i w Ameryce, z której ostatniej zwoził do Hiszpanii złota bez końca. Król hiszpański, pracując sam w gabinecie, własnoręcznie nawet pisanych dokumentów więcej rozsyłał, od wszystkich dworów europejskich, które także nie były bezczynnemi i nie mało zatrudniały ludzi na polu dyplomatycznem.

Filip IIgi nie był gienialnym, nie był nawet niezwykle utalentowanym; lecz był człowiekiem, jakich mało: nigdy w przedsięwzięciach swoich nie tracił ducha, chociaż mu się nigdy żadne nie udało. Gdyby przedsięwzięcia jego były ludzkie, zacne, szczytne, świat miałby nie mało korzyść, nawet z ich nieudania się. Ale z robót takiego człowieka, jakim był Filip IIgi, świat ma jedynie przestrogę, że upór szalony do niczego dobrego nie wiedzie. Filip IIgi zawziął się na Anglią. Ktoby był ważył siły ówczesnej Hiszpanii i ówczesnej Anglii na szali zwykłego zimnego rozumu, byłby rzekł: iście Anglia uledz, nawet upaść musi; Hiszpania zatryumfuje.

Stało się inaczej. Bogu najwyższemu podobało się nie opuszczać Anglii, w której zaczęły się rozwijać zdrowe wolności zarody.

Dnia 29go maja 1588 wyruszyła niezwyciężona armada z Lizbony.

Elżbieta, co do przymiotów serca nie osobliwa, naprzeciw niezwyciężonej armadzie nie wiele mogła stawić siły.

Bóg nie za nią, ale za przyszłość Anglii postanowił stoczyć bój: boć losy narodów nie w ludzkim, lecz w Bożym są ręku.

Elżbieta miała gotowych 28 wojennych i 50 mniejszych statków, na których znajdowało się 15,000 orężnych ludzi, a które statki uzbroiło po największej części miasto Londyn, będące już wówczas potęgą. Powierzyła Elżbieta dowództwo tej niewielkiej floty admirałowi Karolowi Howard, którego nakazała posiłkować Drakiemu, Hawkinsowi i Frobisherowi.

Lecz zaledwie niezwyciężona armada pod wodzą Medyny Sydonii w kanale się pokazała, okropna wszczęła się burza i rozmiotła niezwyciężoną armadę.

Nie sama burza była czynną — czynnymi też byli Anglicy, którzy przeczuwali swoje w przyszłości przeznaczenie. Duma despoty Filipa IIgo została upokorzoną— Anglia i jej królowa ujrzały się swobodnemi.

Sydonia po klęsce doznanej przecież stanął przed królem Filipem. Król, niechcąc zawstydzić siebie samego, rzekł do admirała: posłałem waszmość przeciw ludziom, lecz nie przeciw burzy.

Palec Boży pokazał się nad Anglią.

Naród, po zwycięztwie tak niezwykłem, duszą i ciałem był oddany swojej królowej.

Ale Elżbieta, niepospolita w sprawach publicznych, była małą w sprawach zwykłych.... nie była niewiastą. Na d. 4 września 1588 zakończył swój żywot, jej wcale nie zasłużony faworyt. Królowa, lat 55 licząca, niepo-

mna na powołanie swojej płci, powzięła upodobanie w pasierbie swego zmarłego faworyta, 21-letnim hr. Robercie Essex.

Gdy Henryka IVgo, który 1589 r. zdobył koronę francuską, trapił srodze Filip IIgi i trapiła go liga katolicka, Elżbieta dopomagała królowi francuskiemu pieniędzmi i wojskiem, i czyniła swoje aż do śmierci Filipa IIgo (1598).

Ale pomówimy o życiu prywatnem królowej.

Miała już, jak wiemy, młodego faworyta. Ten znarowiony wielu łaskami, wzbił się w pychę, ubliżał nieraz starzejącej się swojej pani. Stało się, że Elżbieta, mając się za nieograniczoną panię, zadała swemu ulubieńcowi w radzie państwa policzek za to, że się do niej nieprzyzwoicie obrócił — on w tym razie położył rękę na rękojeści szpady — królowa mu i to przebaczyła, czyto w skutek niepojętej niewieściej miłości, czyteż dlatego, że w tej chwili nie zapomniała o niewieściej swojej godności.

Królowa wyprawiła swego faworyta do Irlandyi dla utłumienia wybuchu powstańczego: tenże dowiódł swojej niezdolności, zagubił dane mu wojsko, i zawarł ugodę dla Anglii niekorzystną.

Faworyt pospieszył, wbrew rozkazom królowej, do Londynu, a to w celu, aby upadnięciem jej do nóg, przebłagać ją: królowa chcąc zachować przyzwoitość, wyzuła go z posiadanych godności, i zostawiła mu jedynie tytuł jenerała, by go o niełasce swojej nie przekonać.

Lecz faworyt czuł się obrażonym, nie folgował językowi i pozwalał mu miotać się na królowę, ciągle jeszcze o zalety niewieście dbającą — ba! obrażony faworyt spiknął się nawet z obcemi mocarstwami i wywołał w Londynie rozruch. Elżbieta widziała się spowodowaną wytoczyć mu proces i kazać go śmiercią ukarać d. 25go lutego 1601 r. po odbytym sądzie i wydanym wyroku.

Może królowa czuła, że śmiercią bezbronnego i bezsilnego karać nie należy· czuła zapewne, że go sama do kroków zemsty spowodowała, i wpadła w głęboką melancholię, tak, że już potrzebnej siły do rządu nie miała.

Po wielu cierpieniach umarła Elżbieta d. 24 marca 1603 r., mianowawszy Maryi szkockiej syna, Jakóba VIgo, swoim następcą. Nie kazała królowa obdukcyi przedsiębrać na swojem ciele.

Między Elżbietą angielską i Krystyną szwedzką są podobieństwa.

Obie nie szły śladami zacnych matron — obie chybiły niewieściego powołania i nie umiały poświęceniem zdobyć wielkości moralnej.

KONIEC.

HEJNAŁ *),

przez

Jana Kantego Szymańskiego.

Ledwie zajaśniał świtu brzask mały,
W śnie uroczystym świat leży —
Co to za trąby czujne zagrały?
To hejnał z Maryi wieży! — —

O! drogie tony czasów ubiegłych,
Jakże do serca mi lgniecie!
Czy chcecie wzbudzić braci poległych?
Czy królów wywołać chcecie?

Braci i królów? — ach! zronię łezkę,
Mgła wspomnień owiała duszę,
Marmur rozprzęgnę, podźwignę deskę,
Ale .... niewzruszę.

To czegóż trąby bez przerwy gracie?
Już dawno czuwa myśl, siła,
Świeża jak kwiatek w różanej szacie,
Z gwiazdyby — rosę wypiła.

Pierwsze nabożne modlą się dzwony,
Mgły lekki podmuch rozdzielił —
I pierwszy promień z złotej obsłony
Po modrym stropie wystrzelił.

A jeszcze trąby w oddali grają
Hejnał z Maryi wieży..
Myśl — dzwony — słońce... oddawna wstają —
Lecz ...... w uśpieniu leży.

Kraków 29go sierpnia 1834.

Po sześciu latach.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

A teraz wracamy do dalszego opowiadania. Stary nauczyciel, siedząc pod cienistą gruszą, zadumał się czegoś, gdy naraz stanęli przed nim Staś i Marynia, z pospuszczanemi głowami i szczerym smutkiem na twarzy. Staś zaraz począł rozpytywać się ojca o tem postanowieniu, które wysyłało Marynię w świat daleki i oddawało pod obcą, może zimną i nieczułą opiekę. Cyryl zesmutniał na zapytanie Stasia widocznie, i jego snać bolało niepomału rozłączenie się z kochaną sierotką, ale w jego rozważnym umyśle przedstawiały się rzeczy inaczej, niźli w gorącej piersi młodego chłopca.

Stary Cyryl był ubogim, środki jego wystarczały za-

*) Pobudka ranna.

ledwie na opędzenie najpotrzebniejszych wydatków, a byt był przywiązanym nazawsze do lichej, ustronnej wioszczyny. Zostając w takiem położeniu niemógł nawet i marzyć o staranniejszem wykształceniu Stasia i Maryni. O Stasia mu mniej chodziło; posiadał bowiem sam dość rozległe wiadomości, by ich w pewnej mierze przysporzyć i synowi. Zresztą chłopiec niewymaga nigdy tyle starannej troskliwości, tyle gorliwych zabiegów, i z jakiemi takiemi siłami przy szczerszej woli i odważniejszym charakterze może się przebić przez życie. Nie tak atoli przedstawiało się oczom starego Cyryla wykształcenie młodej dziewczynki. To już zadanie przechodziło siły naszego nauczyciela... Nie poczuwał w sobie odpowiedniej zdolności, by umysł Maryni rozwinąć do prawdziwej pełni niewieściego charakteru, jego zalet i przymiotów, jak niedowierza sobie nieraz człowiek, który nie jest zdolnym ogrodnikiem, w pielęgnowaniu pięknego, lecz delikatnego kwiatu...

Cyryl kochał Marynię jak własną córkę, więc bolał wielce nad tem, że jej niemógł lepszej zapewnić przyszłości... Wśród takiego stanu rzeczy, pojawiła się we wsi osoba, jakby widocznie przez Opatrzność zesłana, która się sama ofiarowała, wywieść z kłopotu poczciwego nauczyciela. Wioska, w której mieszkał, wabiła swem uroczem i zdrowem położeniem wiele gości chorych, którym lekarze bądź to świeże powietrze, bądź picie górskiej żętycy zalecili. Owóż między tymi gośćmi znajdowała się i młoda, bogata wdowa, właścicielka obszernych dóbr ziemskich.

Pani Mielczyńska była kobietą zepsutą, może temi narowami arystokratycznemi, które dotąd ściśle się łączą z naszą tak zwaną *crême de la crême*, ale mimo to pełną zalet i cnót niewieścich. Mała wychowanka Cyryla podobała się wielce bogatej obywatelce, a historya jej sieroctwa poruszyła ją do głębi. Niemiała dzieci własnych, więc tem prędzej powstał w niej zamiar zajęcia się opieką małej sierotki... Było w tem może trochę pańskiego kaprysu, lecz było znacznie więcej szczerej chęci i serdecznego współczucia. Umiał się na tem poznać stary Cyryl, toż niewahał się długo, wejść w żądanie pani Mielczyńskiej. Wszakże z propozycyi jej tchnęło tyle poczciwego uczucia, tyle dobroci serca—że wszelkie słówko, chociażby najlżejszej wątpliwości zamierało na ustach.... A do tego pani Mielczyńska oświadczyła uroczyście, że stosunek jej do sierotki będzie stosunkiem matki do córki, i że nie będzie szczędzić ofiar i usiłowań, by Maryni dać staranniejsze wykształcenie, tak potrzebne niewieściemu umysłowi.

Skonwinkowało to do reszty naszego Cyryla. Stłumił żal, który mu ścisnął serce, poradził się z proboszczem, a potem w serdecznej modlitwie z Bogiem—i przystał na wszystko.

Nie tak łatwo przyszło Maryni, a jeszcze bardziej Stasiowi pogodzić się z tą zmianą... Marysia, dziewczę wesołe, żywe i swobodne, jakkolwiek wielce się strwożyło i zasmuciło zrazu swoim odjazdem, to przecież na przedstawienia swego kochanego opiekuna, na pieszczoty nieznajomej wprawdzie ale dobrej pani, i miłe obietnice świetniejszej przyszłości uspokoiło się znacznie... I mniej jej się żal zrobiło niebawem za chatą cichą, za ojcem Cyrylem, za małym ogródkiem, i—Stasiem... A czyż możnaby wziąść to za złe dziecięcemu umysłowi i jego niewinnej lekkomyślności, co się rwie z uśmiechem szczęścia do nowych a pięknych cacek?

Biedny Staś obdarzony był duszą marzącą, sentymentalną.. Pełen uroczej naiwności chłopięcej i dziecinnego optymizmu nie pojmował, jak można znaleść coś piękniejszego, coś więcej uszczęśliwiającego nad tę małą chatczynę, nad te góry i łąki, nad ten sadek zielony i ten wesoły, srebrzysty strumyczek... To też wyjazd Maryni zdawał mu się niepotrzebnym, dziwnym, niedorzecznym...

I niemógł mu stary Cyryl tak prędko rzeczy całej w lepszem przedstawić świetle.. Owszem gorąca opozycya małego chłopaka omal nie zachwiała nauczyciela w jego przedsięwzięciu... Nareszcie po długich przedstawieniach uspokoił się Staś nieco — a uspokoił się jedynie dla tego, że wyjazd Maryni miał być środkiem do jej przyszłego szczęścia, warunkiem jej świetniejszej doli...

Dzień, w którym sierotka miała opuścić dom, który ją pod swą strzechę gościnnie przyjął i swem serdecznem ciepłem ogrzał, nadszedł nareszcie, oczekiwany przez szczupłe kółko rodzinne naszego Cyryla, z tem dziwnem uczuciem niecierpliwości, które nas zwykło wtenczas nawiedzać, gdy widzimy przed sobą jakiś wypadek, którego się lękamy, lecz który już nie da się odwrócić.

Mały węzełek Maryni już leżał gotowy. Stary Cyryl modlił się tegoż dnia dłużej i goręcej niż zwykle, Staś nieodstępował od boku swej towarzyszki,—a Marynia rzewnie płakała i żegnała żałosnym, smutnym wzrokiem małe ubogie izdebki, i podwórko z starą gruszą i wonny ogródeczek z wypielęgnowanemi własnem tchem kwiatuszkami...

Cyryl ocierał ukradkiem łzy, które mu się gwałtem cisnęły do oczu, by nie podnosić jeszcze bardziej cichej boleści tej chwili... Potem wepchał do węzełka paczkę papierów i pęk piór zaciętych i rzekł:

— Maryniu!.. masz tu twoją metrykę i inne papiery, po twej matce pozostałe, a tu znowu pióra, które zaciąłem tak, jak ty lubisz.. Cienkie końce i długie... takiemi zawsze najlepiej pisywałaś.. Daję ci je na to, byś do nas często, bardzo często pisywała..

I ucałowawszy główkę dziewczęcia, odwrócił się spiesznie na bok, by ukryć silne wzruszenie.

— Pamiętaj, drogie dziecię—mówił dalej— niezapominaj o mnie, o moich słowach, i—o Stasiu...

— I o mnie!..— powtórzył Staś drżącym głosem.

— Niezapomnę nigdy...—wyjąkało dziewczę i rzęsiste łzy zalały jej niebieskie oczęta.

— Maryniu!..— mówił znowu Staś — tyś zawsze mówiła, że mnie kochasz...

— Kocham...— potwierdziła Marynia.

— I będziesz mnie zawsze kochać?..

— Zawsze...

— I nie zapomnisz nigdy?...

— Nigdy!..

I uścisnęły się czule oboje dzieci... Uścisnęły może po raz ostatni—bo w tej chwili zajechał powóz przed chatę Cyryla, i zabrał Marynię z sobą...

Cyryl i Staś stali długo..długo na progu, i patrzali ze łzą w oku i smutkiem na twarzy za odjeżdżającą sierotką... Powóz szybko się toczył po krętej drodze, i znikł naraz między zielonemi wzgórzami... A Staś wrócił z ojcem do izdebki, która wydawała im się pustą i głuchą, jakby po morze...

Jedź w świat biedna sierotko, jedź z Bożą łaską i miłością ludzką!... I znajdź w nim kątek tak luby i ciepły, jak chatka starego Cyryla i taką miłość ojcowską, jaką cię on kochał, i takie serce—jak Stasia!...

(*C. d. n.*)

Ramoty starego Detiuka

O WOŁYNIU,

zebrał

ANTONI ANDRZEJOWSKI.

Poprawiona zalotnica.

(*Ciąg dalszy.*)

Płotnicki wprowadził Ludwikę do karety, w której z uszanowaniem na przodzie usiadł; ani na chwilkę oczu swoich odwrócić nie mógł od pięknego oblicza wdowy, ale ta, o czemże się zadumała? Marzyły jej się swoboda, majątek zmarłego męża, życie w stolicy, łaska, może nawet więcej niż łaska zalotnego monarchy. Serafin śledził jej myśli, może poczęści je odgadywał, milczał biedny i wzdychał. Wdowa nie patrzała na niego, a jeżeli kiedy ich wejrzenia spotkały się, w oczach Ludwiki był chłód i duma, w wejrzeniach Serafina malowały się uczucia rodzącej się w sercu jego miłości. Wejrzeń pazia nie rozumiała piękna pani, bo jej myśl wysoko latała, bo w jej sercu było pusto i zimno. Nie uszła wprawdzie jej uwagi piękna twarz młodzieńca, i jego wyższe ukształcenie, ale że to był paź tylko, więc ta uwaga żadnego w pamięci śladu nie zostawiła.

Pani Branicka, kasztelanowa krakowska, mieszkała na senatorskiej ulicy, podróż więc od zamku niedługo trwała. Płotnicki wprowadził p. Urbanowskę na pokoje i pobiegł oznajmić pani krakowskiej, i oddać bilecik królewski, w którym młodą wdowę jej protekcyi polecał. Znaną była przystępność, dobroć i popularność tej nieskażonej obyczajami panującemi w Polsce, tej wzorowej polskiej damy. Ani braterstwo panującego, ani dostojeństwo osobiste, ani opinie i obyczaje czasowe nie zmieniły w niej cnót, cechujących nasze starodawne matrony. P. Branicka surowa względem siebie, pobłażającem okiem na świat otaczający ją patrzała. Więcej pół wieku, od tych czasów upłynęło, a jeszcze od Białegostoku do Warszawy i Wilna imię jej z wdzięcznością i uwielbieniem wspominają!— P. krakowska uprzejmie powitała Ludwikę i ze współczuciem wybadywała jej położenie. Umiała wdowa przybrać postać skromną uciśnionej, a łatwość wysłowienia się podawała do ust wyrażenia tkliwe, silne i ujmujące. P. krakowska zatrzymała ją na cały dzień u siebie i odprawiła pazia i ekwipaż królewski. Biedny Serafin sam powracał, w ciągu posłuchania układał sobie, co jadącej z nim wdowie ma powiedzieć, jak trafnie uczucie jej wybadać i jakby wyrażeniami pełnemi uszanowania i miłości trafić do serca wdowy zapewne swobodnego jeszcze. Ale cały ten pięknie ułożony dyalog, z pięknych marzeń osnuty, kilka słów siostry królewskiej zniweczyło. Jechał smutny i gniewny, a w sercu odzywało się jeszcze inne uczucie, którego nie śmiał rozwinąć, a wyrzucić z serca nie miał odwagi. Stanąwszy przed królem zdał sprawę ze swego posłannictwa, a król klepiąc go po ramieniu: »a co, piękna wdówka?« rzecze: »Piękna najjaśniejszy panie!«—»A może i do serca p. Serafinowi przypadła?« Zapłonił się na te słowa Płotnicki, spuścił oczy, król mówił dalej: »staraj się podobać p. Urbanowskiej, wdowa i swobodna; ale cię przestrzegam, że póki w Warszawie, to silnych i możnych współzalotników mieć będziesz. Nie zrażaj się jednak, *audaces fortuna juvat.*« Serafin ucałował rękę łaskawego pana, wyszedł, i odtąd marzenie, pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy, stało się celem jedynym, jedynym jego żywiołem.

Tymczasem u pani krakowskiej Ludwika poznała wiele dam pierwszej dystynkcyi i wszystkie, a osobliwie poważne matrony niezazdrosne jej wdzięków, okazywały jej swoje współczucie. Pani Branicka tak ją polubiła, że sama woziła ją po wizytach i na wieczory zamkowe wprowadziła. Pochlebiało to dumie naszej wdowy i pomału, pomału zapomniała o swojem położeniu, i rada była, że rozwiązanie jej interesu opaźnia się.

Pani Grabowska, szczycąca się już naówczas względami króla, które później tak jawnemi się stały, widziała w p. Urbanowskiej piękną nowość, i lękała się ujrzeć rywalkę, niebezpieczną rywalkę, ale zachowując cały pozór bezinteresowności, zręcznie udając współczucie, nalegała na króla, ażeby nie dozwalał wdowie tak długo cierpieć i rozwiązanie jej sprawy przyspieszył. Płotnicki najczęściej używany do posłannictwa w stosunkach z królem, a ośmielony szczególną dla siebie p. Grabowskiej protekcyą, z zapałem mówił o Ludwice i wydał się mimowolnie z tajonemi dotąd uczuciami. Nie dała poznać po sobie p. Krajczyna, że pojęła stan

serca młodego pazia, ale uradowana w duszy, przedsięwzięła nieznacznie pomagać mu i nastawała delikatnie na króla, i o wsparcie rychłe dla wdowy i o promocyą dla pazia.

Ludwika, rzucona w odmęt światowy, zajęta blaskiem który ją otaczał, ufna we wdzięki swoje i w protekcyą p. krakowskiej, była pełna nadziei panowania nad panującym, zapomniała więc o roli, jaką jej wygrywać należało, a nawet o istotnem swojem położeniu. Ani wspomnienia na przyszłość, ani rozsądne przyjacielskie uwagi panny Urbańskiej, nic jej nawrócić nie mogło. Czas upływał, finanse się wyczerpały i coś w złem się świetle przyszłość okazywała.

P. Krzysztof wywiedziawszy się od przyjaciół, że bratowa w Warszawie, i że jej się udało zainteresować króla i cały świat wyższy stolicy, wybierał się do Warszawy, ażeby tam użyć środków dla przeszkodzenia działaniom wdowy. P. Koniuszewski, uwolniwszy się z obowiązku u Urbanowskich, posiadacz wioski w sąsiedztwie, miał ciągle na oku, co się dzieje w Cepcewiczach, a skoro usłyszał o zamiarze p. Krzysztofa, dniem i nocą puścił się do stolicy, ażeby interes siostry jak najspieszniej do końca doprowadzić i ją samą ztamtąd wydobyć. Mała niedyspozycya opóźniła wyjazd p. Krzysztofa, p. Koniuszewski tymczasem był już w Warszawie, a wiedząc z listów Ludwiki że p. Czacki interesuje się jej sprawą, do niego najpierwej się udał. Tymczasem król na naleganie p. Grabowskiej wezwał p. Czackiego i polecił mu towarzyszyć wdowie na Polesie i tam najpomyślniej interes jej załatwić, bez ujmy w czemkolwiek honorowi szlacheckiemu braci jej męża. Rzecz nie cierpiała zwłoki. Czackiego wszystkie chwile poświęcone były usłudze kraju, tym wyjazdem przerwać je potrzeba było, i na ten raz gorliwość o dobro ojczyzny prywatnemu interesowi ustąpić musiała.

P. Urbanowska, olśniona swem powodzeniem, już nawet o zwleczeniu żałoby zamyślała i właśnie nad wyborem strojów z p. Urbańską naradzała się, kiedy lokaj oznajmił p. Koniuszewskiego. Ludwika oczekiwała go niecierpliwie, i z nim pieniężnego zasiłku, na którym już jej bardzo zbywało, pobiegła więc spiesznie ku wchodzącemu wołając: »Ach bracie kochany witam cię sercem pełnem radości! zapewnie przywozisz mi pieniądze! ach! dawaj prędzej, dawaj! nie uwierzysz jak dziś wielkie są moje potrzeby.« — »To, co przywiozłem pani siostrze, wystarczy na wygodny powrót.« — »Dokąd powrót?« — »Do Cepcewicz, do domu, bo Warszawa daje wydatki, a przychodów żadnych, zkąd więc pani siostra żyć będziesz?« — »Albożem do wmpana nie pisała, że potrzebuję pieniędzy?« — »Z jakichże je miałem czerpać funduszów?« — »Było pożyczyć!« — A na jakiej hipotece?« — »Czyż majątek mego męża niedostateczny dla zabezpieczenia pożyczki?« — »A maszże p. siostra jakie do niego prawo? Czyż p. Michał zrobił jakie rozporządzenie, zabezpieczające fundusz dla jego wdowy?«

Tych kilka słów jak grom uderzyły umysł Ludwiki. Od dwóch miesięcy pobytu w Warszawie, nigdy przez myśl jej nie przeszło zastanowić się nad prawdziwem swojem położeniem, smutna prawda rozwinęła się w całem swem świetle. Zamilkła, załamała ręce, i w tej postawie rysy jej charakter rozpaczy przybrały. Ale to jak błyskawica przelsnęło; w moment z żywością rzeknie: a moje 20,000 u p. Przyłuskiej?« — »Podniosłem je, i z sobą przywiozłem.« — »No! to dawajże prędzej! dawaj!« — »Zaraz, niech jednak wprzódy p. siostra zechce spojrzeć na te dwie kartki, są to jej rachunki z kupcami, rzemieślnikami, sługami i gospodarzem domu, w którym masz mieszkanie i ekwipaż.« — »Czyż to tak wielka suma?« — »Proszę zobaczyć.« — »Urbańsiu! przejrzyj, proszę cię, te głupstwa, i powiedz mi, wiele tam tego wszystkiego.« — »Oprócz stołu dla nas i trojga ludzi, za robotę strojów, sukień etc. etc. za szal, za tualetę z przyborem, za lokal z meblami, za ekwipaż, pensya dwóm lokajom etc. etc., — ogółem 720 czerw. złot. Kucharz i stół 100 dukatów; zostaje więc pani 180, a i p. cześnikowi pani coś winna« — dodała p. Urbańska. »Ja mego nie liczę, bo między rodziną rachunków niema. Da Pan Bóg p. siostrze a będę w potrzebie, wtedy udam się do siostry o pomoc.« — »Ja niczyjej darowizny nie potrzebuję« — zawołała Ludwika i porwawszy pióro napisała szwagrowi rewers na 200 dukatów wzięte jadąc do Warszawy. Proszę mię ze swej kurateli uwolnić, sama sobie w świecie dać radę potrafię. A do tego proszę wiedzieć, że mię najwyższa okrywa protekcya« To rzekłszy wyszła do gabinetu i drzwi za sobą zatrzasnęła. Z litością p. cześnik poglądał za odchodzącą, p. Urbańska pomieszana nie miała co powiedzieć i chwilę jakąś trwało milczenie, przerwał je cześnik: »I cóż panno Urbańska! także to was zmieniła Warszawa, żeście przeszłości nie zapomniały i na przyszłość względu nie macie?« — »Ach! p. cześniku! nieopuszczaj nas! Piękność Ludwiki, świetne jej powodzenie zdziałała; wielkości głowę jej zawróciły, ani ją zwrócić na jej drogę nie można!« — »Czemuż wmpana nie starałaś się okazać fałszywego jej położenia?« — »Niestetyż p. cześniku! żadnej nad nią nie mam mocy, a jeśli kiedy odważę się zrobić jej jaką uwagę, odpowiada mi z gniewem: »Proszę mię rozumu nie uczyć.« — »Więc na mnie spada cały ciężar wyrwania jej z tego odmętu? dobrze! działam i działać będę, choćbym się miał narazić na jej gniew, a może i na wyższą niełaskę.« »O! nie, o to zdaje się nie ma co się lękać; król już nie jest w tem oczarowaniu względem Ludwiki, samej piękności zamało dla Stanisława Augusta; grzecznym jest dla Ludwiki również jak dla drugich — i nic więcej. — »Czegóż więc bawić w Warszawie?« — »Bawimy się, i w zabawach przeszłość i przyszłość utopić chcemy.« Ledwie tych słów domówiła, wszedł p. starosta nowogrodzki nieopowiedziany, bo wizyty jego w każdej porze nie anonsowały się u p. Urbanowskiej, cześnika ścisnął za rękę i rzekł mu z cicha: »wszystko skończone,

możecie wyjeżdżać, ja za wami pocztą pospieszę.« Zapytał potem głośno o p. Urbanowską.

(*Dok. nast.*)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Smutne jest teraz zadanie sprawozdawcy teatralnego. Przedstawień mało, w teatrze pustki, a co gorzej... skład i zajęcie jakieś tak na scenie jak i przed sceną, tak... że się zdaje prawdziwie, jako i ci co grają i ci co patrzą na grających, czynią to z obowiązku, którego każdy radby się pozbyć jak najprędzej. Jakoż i w rzeczy samej—w takich czasach, jak dzisiejsze, grywanie i bywanie w teatrze jako obowiązek uważanem być powinno: czy robi, czy nie robi przyjemności, to jest scena narodowa, którą utrzymywać w każdym razie jest naszą świętą powinnością. A nawet powiedzielibyśmy więcej. My rozumiemy sercem, to zapieranie się każdej rozrywki choćby najgodziwszej, lecz wielkie pytanie, azali obcy nam nieprzyjaźni nie zechcą nas posądzać o jakieś usposobienie rozpaczliwe, powodowane biegiem zdarzeń. Nie!.. darmoby tak sądzii, my tego usposobienia w obecnej chwili nie mamy, i mieć nie możemy. Bóg to widzi najlepiej!.. Z tem wszystkiem rola sprawozdawcy teatralnego jest dziś i smutna i niewdzięczna. Bo dziś i pisać się nie chce, i tem mniej czytać sprawozdania o kłamanych choćby najtragiczniejszych katastrofach, kiedy każdego ucho, myśl i serce zwrócone z natężoną uwagą w inną stronę, azali nie doleci zdala oddźwięk jaki od tej wielkiej widowni dziejowej, na której rozstrzygają się losy całego narodu.

Dogadzając zatem wymaganiom pisma naszego, w krótkości przebiegniemy sceniczne przedstawienia minionego tygodnia.

A najprzód raz po razu przedstawiono dwa wielkie sceniczne widowiska, które w każdym innym razie—aby użyć technicznego w takich razach wyrażenia—mogą być widowiskami spektaklowemi, ale tym razem przeszły niepostrzeżone, bo się najmniejszą niteczką sympatyczną nie wiążą z usposobieniem chwili. Były to dramata: *Mauprat* i *hrabia St. Germain* czyli *Ciemna w Paryżu.* Oba dramata przetłumaczone z obcych przerobień należą do utworów dość potwornych, rozczochranej, w okropnościach rozmiłowanej szkoły francuskiej. Znane są zresztą, a choćby i nieznane, rozpisywać się nad niemi nie warto. O grze artystów także nie ma co wspominać, wszakże się jej wcale nie dziwimy, a nawet poczęści tłumaczymy. Odznaczył się wszakże w obu sztukach p. *Królikowski*, jak zwkle niezmordowany w swej artystycznej sumienności.

Nastąpił po nich dramat także francuzki na poły komiczny, pełen żywości i humoru: *Ulicznik Paryzki.* Sztuka to także zanadto znana, by się co już o niej dało nowego powiedzieć, i po prawdzie powiedziawszy jest już wszędzie do syta ograna. Tu na teatrze krakowskim utrzymuje się jeszcze—można szczerze powiedzieć — wyborną, pełną życia i prawdy grą p. *Biedrońskiej.* Utalentowana ta artystka z szalonego, pustego, a poczciwego chłopca pełnego serca i honoru, tworzy typ tak prawdziwy, o jakim tylko mógł zamarzyć sam autor. A przecież i ona tym razem dała się po części przejąć tym, o którym mówiliśmy chłodem, i mniej może żywo grała niż innemi razami. Lecz ni dziwić się, ni ganić nie będziemy. Wszak powiedzieliśmy już, że trudno rozkazać sercu i myśli, by nie odbiegały od zajęć codziennych. Z tem wszystkiem gra p. Biedrońskiej i tego wieczora była tak sympatyczna, że ją publiczność szczeremi nagradzała oklaskami. Niemniej też po mistrzowsku odegrał p. *Królikowski* rolę starego jenerała Napoleońskiego.

Grano nareszcie: *Barbarę Zapolską* i *Nad Wisłą.* Barbara Zapolska, obcy to nie oryginalny nawet, bo przerobiony dramat, ale się jakoś zawsze utrzymuje, bo nazwiskami i treścią przypomina nam drogą sercom świetną przeszłość naszą. Odznaczyli się w niej: Panna *Hofmann* i p. *Królikowski. Nad Wisłą,* jako krotochwila, z niewielkim wydatkiem dowcipnie ułożona, nie ma wiele prawdziwej wartości, ale jest dosyć wesoła, i ma w sobie nieco charakteru ludowego, czyli raczej małomieszczańskiego. Grali bardzo dobrze: pani *Krajewska* i pp. *Janowski, Wisłocki* i *Dębicki.*

Niebieskie rękawiczki.

(Powiastka jakich wiele).

(Dokończenie).

III.

Niedziela — Przygotowania do rendez-vous — Nieszczęsne rękawiczki — Nie należy nigdy zapominać, chustki do nosa — Fatalne skutki tegoż zapomnienia. — Sens moralny.

Jak wiele niedziel, które dla naszego Antosia nie miały żadnego uroku, prócz tego że może będącemu w niższych klasach uśmiechały się urokiem całodziennej rekreacyi— tak i ta niedziela, która miała zobaczyć naszego bohatera u celu najgoretszych życzeń— zawitała..... ale z nadwyczaj posępnem obliczem. O godzinie piątej zrana, gdy Antoś gnany oczekiwaniem wyskoczył z łóżka i przystąpił do okna—na największe swoje umartwienie przedstawiło mu się niebo, jak gdyby osłonięte szarem zapylonem płótnem, upstrzonem dość gęsto porozrzucanemi czarnemi plamami.

— Niepogoda — rzeczywista niepogoda. Nie pójdzie na spacer i wszystko przepadło — lamentował nieszczęśliwy.

I w saméj rzeczy zabierało się nawet na kilko dniową słotę. Wiatr zerwał się dość gwałtownie a deszczyk kapuśniaczek zaczął bić po szybach, odzywając się obojętnemu słuchaczowi szelestem groszku rzucanego lekko na szkło — zaś Antosiowi bólem tysiąca szpilek pchanych w ciało.

— Więc wszystko się na mnie sprzysięgło — wołał żałośnie — i niebo, które traktuje deszczem ziemię a to jeszcze w niedzielę, gdzie każdy człowiek, pracujący cały tydzień, chce przecież wyjść na spacer... i ziemia która mieszając ten deszcz z jakiemiś tam częściami swojemi, tworzy jakiś dekokt nieprzyzwoity, przez ludzi poprostu błotem nazwany.... a wreście i ludzie, którzy niezmordowani w swoich pomysłach wymyślili jakiś porządek rzeczy, że podczas deszczu i błota nie spacerują... te i tym podobne filozoficzne uwagi roiły się po głowie Antosia... ale wszystkie narzekania nic nie pomagały, wiatr dął coraz silniéj a deszczyk przemieniał się w formalny deszcz i rozdzierał serce zakochanego.

— Tego już nadto, to nie do wytrzymania — i zaczął płakać ze złości... rzucił się na łóżko. Srodze zafrasowany i zadumany nie uważał wcale jak deszcz zwalniał i miejscami na niebie pojawiły się czyściutkie niebieskie płatki, rzucając jasne i miłe światło na ziemię. Wiatr przeganiał chmurami, rozpędzając je na wszystkie strony i robiąc miejsce lazurowi, rozweselającemu oblicza wszystkich, chcących tego dnia robić wycieczki bliższe lub dalsze. W tem i słońce wypłynęło majestatycznie i osuszyło w oka mgnieniu lekko skropione ulice. Jasność uderzyła w oczy Antosia i wyrwała marzeniom — spojrzał w okno a oczy jego spotkały się z promieniami króla światła, zaglądającego ciekawie do jego mieszkania. W zmrużonych oczach jego zaczęło skakać tysiące płateczków najwspanialszych barw, a w środku nich ukazała się anielska postać ślicznej *vis-à-vis*.

Tu następuje radość nie do opisania: jak przed chwilą narzekanie na wszystkich i na wszystko, tak teraz błogosławieństwo wszystkim i wszystkiemu.

Tak przeszedł cały ranek, nareszcie i obiadowa pora. Antoś naturalnie nic nie jadł. Ciągły spacer od okna do szafy, z której wyciągał rozmajtą garderobę nie mogąc się zdecydować jak się ubrać na to rendenz-vous zajął ranek i ze dwie poobiednich godzin. Około godziny czwartej spostrzegł ruch niezwykły w przeciwległych oknach. Piękna *vis-à-vis* zrobiła trzy koła w powietrzu, ale już nie chustką jak poprzedniemi razy, tylko okrągłym, białemi wstążkami ubranym ryżowym kapelusikiem. — Potem okno się zamknęło, a za chwilę ujrzał Antoś na dziedzińcu wesoło podskakującego chłopczynę, a za nim biegnącą kompletnie do spaceru ubraną śliczną *vis-à-vis*.

— Aha! więc to znak był, że już wychodzi, więc i ja naturalnie powinienem już wyjść — o ja cymbał — dodał, uderzywszy się pięścią w czoło — a jam jeszcze nieubrany. Znowu się opóźnię i wszystko przepadnie.

Z rozpaczą prawie rzucił się do sukień rozłożonych na sofie, i z największym pośpiechem zaczął się ubierać. — Z uderzeniem pół do piątej stał już wyelegantowany przed bramą kamienicy.. a fryzura, fryzura... otóż zapomniałem... a toby było ładnie — mówił do siebie — z taką czupryną pokazać się ubóstwionej. W pięć minut siedział już w poręczowem krześle a zręczny fryzyerczyk ujmując zgrabnie w gorące żelazko małe partyjki włosów zawijał je w estetyczne loczki. Lecz Antoś miał gęstą czuprynę, zawijanie dość długo trwało, bo gdy z kędzierzawą i pachnącym olejkiem wysmarowaną czupryną stanął przy bramie Floryańskiej, zegar Maryacki uderzył kwandras na szóstą.

— Więc już pięć kwandrasów jest w ogrodzie — a mnie tam nie ma — zawołał zrozpaczony.. gotowa się znudzić, myśli: że ja nie chcę się stawić na umowionem miejscu... nie dowierzając ze wszystkiem swoim uszom, wyjmuje zegarek... zbladł... podniósłszy zegarek do oczu spostrzegł... o dniu nieszczęścia!... owóż spostrzegł, że był bez rękawiczek. Jako elegancik uważałby, jak zbrodnię, samą myśl pokazania się pierwszy raz swojemu ideałowi bez rękawiczek.

Znowu walka, lecz bardzo krótka *za* i *przeciw* rękwiczkom, i Antoś biegnie w Grodzką ulicę za tym niezbędnym artykułem.

— Jest — jest — zawołał ujrzawszy otwarty sklep rękawicznika — już prawie na samym końcu ulicy — i wpadł jak bąba do niego.

Nadzwyczaj szybko wybrał jedną parę, nie uważając już wcale na kolor, zapłacił, a wciskając rękawiczki na ręce, pędził prawie bez zmysłów, rozbijając ludzi po drodze ku strzeleckiemu ogrodowi. Dopiero grube krople potu, lecące jak lawiny z czoła i zatrzymujące się na nosie, brodzie i ustach, przywróciły go cokolwiek do zmysłów i sięgnął machinalnie do kieszeni tużurka... i niestety znowu skutki z pośpiechu i roztargnienia... chustki w niej nie znalazł. Ale o wracaniu się do domu za tym meblem ani myśli: już i tak się bardzo spóźnił. Więc machinalnie przejechał kilka razy po czole i twarzy — a powtórzywszy jeszcze kilka razy ten sposobik, dla uwolnienia swojego oblicza od oznak wielkiego zmęczenia, stanął wreszcie w bramie ogrodu strzeleckiego.

Zaraz na wstępie do ogrodu jakaś wesoła kompanijka, wychodząca już ztamtąd, przywitała go głośnym śmiechem, którego wcale nie uważał, mając zupełnie czem innem głowę zaprzątniętą — cóż go śmiech wesołych ludzi obchodzić może?

Więc dalej ku strzelnicy. Lecz obok tego budynku, prócz kilku wesołych skaczących chłopaczków, żadnej niewieściej postaci nie zastał.

Już miał wybiedz z ogrodu i pędzić na los szczęśca

w nadziei, że w botanicznym ogrodzie lub gdzie na gościńcu dopędzi swoję ubóstwioną—gdy w tem jeden z chłopaczków bawiących się, a w którym Antoś poznał natychmiast owego mniemanego siostrzeńca swojego ideału, przystąpił do niego a skłoniwszy się grzecznie zapytał pół głosem:

— Pan zapewne patrzy za ciocią?

Antosiowi krew uderzyła do głowy. Już był tak bliski celu.

— Tak, tak szukam cioci! wyrzekł a pochwyciwszy chłopca za rękę, pociągnął gwałtownie w krzaki — Więc jest tu ciocia... tak długo na mnie czekała...

— Czekała—odpowie chłopak—a nie mogąc się doczekać, musiała usiąść z drugimi do podwieczorku!

— Gdzież.... gdzież...?

— Tam koło wystawy, gdzie muzyka grywa...

Antoś puścił się pędem ku wskazanemu miejscu...

— Panie... panie—wołał za nim chłopczyna—panie... bo pan cały...

Tyle tylko mógł dosłyszeć Antoś słów chłopczyny—które go już nic a nic nie interesowały, gdy widział miejsce, gdzie napotka swój ideał.

Już stał na środku placu zastawionego mnóstwem stolików i obsadzonych przez rozmaite mniejsze i większe towarzystwa, rzucił wzrokiem w około, a spotkawszy się z twarzami do rozpuku śmiejących się osób, patrzących na niego, przeciągnął jeszcze raz rękami po twarzy, wziął kierunek na prawo ku wystawie i o radości... o rozkoszy ujrzał swojego anioła— siedziała wsparta na ramieniu jakiegoś jegomości, trzymając w jednem ręku olbrzymi kawał chleba z masłem a w drugiej potężny do połowy wypróżniony kufel piwa.

Tego wszystkiego Antoś nie widział— jemu migała się tylko przed oczyma śliczna główeczka z blond loczkami. Postąpił jeszcze kilka kroków— nogi się pod nim zachwiały, oczy mgłą zaszły, musiał usiąść koło pierwszego lepszego stołu. Omdlał do połowy. Nic nie widział, nic nie słyszał, jak tylko śmiech przy tym samym stole siedzących osób i jakiś głos gruby, który się nad samą głową Antosia odezwał:

— A któż-to jegomości tak pomalował? I znowu śmiech gwałtowny.

Antoś sam nie wiedział jak długo bez przytomności siedział, dopiero szarpnięcie gwałtowne, jakie uczuł na lewem ramieniu ocuciło go— otworzył oczy i ujrzał chłopczynę przed sobą:

— Panie... panie... co panu takiego?... Ciocia czeka.

Antoś zerwał się na równe nogi. Już zaczęło się zciemniać... rzucił oczyma na prawo... już nikogo nie było w ogrodzie... prócz jakiejś kobiety oddalonej o kilka kroków.

— Gdzie... gdzie?... szepnął Antoś.

Owa kobieta zbliżywszy się do niego a ująwszy go za rękę:

— Tu... tu niewdzięczny — mówiła patetycznie i z westchnieniem— tak długo kazałeś na siebie czekać.

Antoś wlepił oczy w twarz kobiety.

— Co, jak? zawoła... pani.., mówi płaczliwie i z desperacyą Antoś... nie pisałem nigdy.

— O zdrajco!— więc mnie nie kochasz?

W tej chwili odezwał się za Antosiem głośny śmiech, który go przejął do głębi — obraca się i widzi przed sobą piękną *vis-à-vis*, prowadzoną pod rękę przez jakiegoś mężczyznę.

— Ja do tej pisałem— krzyknął Antoś wyciągnąwszy machinalnie rękę ku pięknej *vis-à-vis*.

Lecz tak *vis-à-vis*, jak i jej towarzysz, popatrzywszy w twarz Antosiowi, parsknęli głośnym śmiechem, a ten drugi wykrzyknął:

— Waryat!...

Antoś, widząc się wystawionym na pośmiewisko, zebrał jakoś zmysły.

A to co?—krzyknie, pokazując karteczkę zapraszającą go na schadzkę.

Lecz *vis-à-vis* i jej towarzysz jeszcze więcej się śmiali.

— To ja pisałam mówię ci niewdzięczny, odpisując na twój bilecik—rzeknie jejmość, którą mały chłopczyna jako ciocię swoją przedstawił.

— A jakże—doda chłopczyk— który mi pan kazałeś cioci oddać!

Teraz rozjaśniło się w głowie Antosia. Wstyd oblał rumieńcem twarz jego, on go czuł, bo go piekł, pociągnął ręką po czole, jak gdyby chciał zupełnie przyjść do siebie i coś stanowczego zrobić, i znowu gwałtowny i szyderczy śmiech pięknej *vis-à-vis* i jej towarzysza.

* * *

Jak Antoś przyszedł do domu, tego sam już nie wiedział. To tylko jest wiadomem, że dnia następnego obudził go jego kolega nadzwyczaj głośnym śmiechem i wyrazami:

— Bójże się Boga Antosiu, a któż cię tak wystroił?

A gdy go prawie gwałtem do lustra zaciągnął, zobaczył Antoś twarz swoją w bardzo pięknym stanie: Całą fizyognomię zdobiły jakieś to ciemniejsze, to jaśniejsze niebieskie plamy, tak, że była podobną do tak zwanego marmurowego niebieskiego papieru. Zkąd się wzięły te plamy, każdy bardzo łatwo odgadnie, ak jak i cel tej powiastki, a ten jest: *Niekupuj niebieskich rękawiczek.*

(Wł. Wołski)

Władysław Rola.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewiza.